



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Kobieta w Stanach Zjednoczonych.

### I.

Sprawa niewieścia, zamieniająca się stopniowo w kwestyę socyjalną, gorączkuje coraz silniej opinię Zachodu. Gdy z rozpraw teoretycznych zaczęła ona przechodzić w dziedzinę życia i stawać się palącą zagadką społeczną, umysły poważniejsze zrozumiały, że nie można traktować jako prądu przejściowego dążeń i zabiegów tak znacznego odłamu ludzkości, iż mógł on, w najkrótszym czasie, połowę jej ogarnąć. Nie ma też wybitniejszego, literacko-społecznego organu prasy w Europie, który by w ostatnim półroczu nie poświęcił miejsca sprawom lub piórom niewieścim. Najsilniej zajmowały się nimi: *Revue des deux mondes*, *Revue des revues*, *L'art et la vie*, *Le Correspondant*, *Waffen nieder*, *Die Zeit*, *Zukunft*, *Nineteenth Century*, *Harper's Magazine*, *Humanitarian*, *Contemporary Review*, *Forum* i wreszcie, nie licząc pism specjalnych, jak: *Journal des femmes*, *Die Frau*, *Neue Bahnen*, *Woman's Signal*, lub tym podobne, długi szereg wydawnictw: niemieckich, russkich, a szczególnie angielskich i amerykańskich.

Z całej tej powodzi rozpraw, poświęconych umysłowości, mózgowi lub pracy niewieściej, podejmujemy *Przegląd dwóch światów*. Wytrawna autorka i podróżniczka francuska, pani Ph. Bentzon, w obszernym dziele: *Condition de la femme aux Etats-Unis*, z którego dawaliśmy niedawno szczegółowe sprawozdanie, ogłasza obecnie część jego drugą, poświęconą ruchom feministycznym, oraz zasługom i pracy kobiet amerykańskich, we wszelkich dziedzinach działalności społecznej.

Pragniemy zanotować tu wyłączone punkta ciekawego tego studium. Jest ono tem donioślejsze dla świata niewieściego, iż, nie wdając się w żadne teoretyczne rozprawy, sięga tam, gdzie kobieta, od dawna równoprawniona w nauce, potrafiła już złożyć dowody swego uzdolnienia, a sięga, aby wykazać w najobiektywniejszy sposób: moralne, humanitarne i cywilizacyjne korzyści, przyniesione przez nią społeczeństwu. Jestto więc wymowny protest przeciw znanemu aksjomatowi Proudhon'a, sformułowanemu przez Emila Girardin'a: *Parlout où la femme vient faire concurrence à l'homme, ce n'est pas le bien-être Collectif qu'elle augmente, c'est le taux du salaire qu'elle fait baisser.*

Praca kobiet, to błędne koło, — wołają do dziś dnia u nas, najpoważniejsi nawet publicyści. — Mnożąc podaż sił roboczych zmniejsza popyt na nie, obniża normę wynagrodzenia. Co więc zyskuje rodzina na zarobku córek, to traci na zapłacie, branej przez ojca i, zubożona, nie wycofuje nawet kosztów, wyłożonych na specjalne wykształcenie swych pracowni.

Obraz ten był i jest prawdziwym, ale był i jest przejściowym. W bilansie zysków rodziny nie pomieszczone tu przedewszystkiem korzyści moralnej, odniesionej przez owe legiony niewieście, które, zamiast skwaszenia, przynoszonego przez próżniactwo i życie beczynne, a błahostkom poświęcone, zyskiwały cel istnienia, pogodę, poczucie spełnionego obowiązku i hart pewien, nieoceniony dla przyszłych matek rodziny i wychowawczyń.

Idźmy więc za opowiadaniem pani Bentzon, która w sposób bezpretensjonalny notuje fakta, zarówno korzyści moralnych, niesionych społeczeństwu przez pracę kobiet, jak korzyści ekonomicznych zdobywanych przez nie tam, gdzie, dzięki równoprawnieniu w nauce, nie płeć robotnika, lecz jego uzdolnienie, rozstrzyga o wysokości wynagrodzenia.

Wierna swym etycznym i humanitarnym poczuciom, a pozbawiona jeszcze wówczas wszelkich środków działania, Amerykanka dźwignęła przede-

wszystkiem sztandar: nauki i miłosierdzia. Cały systemat edukacyjny Stanów Zjedn., jest przeważnie jej zasługą: cała filantropja jej wyłącznym dziełem. A jak małymi zaczęły środkami! Oto Myrtille Miner, uboga nauczycielka, pracująca w stanach północnych, postanowiła przed trzydziestu laty, założyć w Waszyngtonie, pierwszą wzorową szkołę dla dziewcząt murzyńskich. Uważano ją za szaloną, zaczęła bowiem bez żadnych środków materialnych. Zakład jednak powstał z programem i zakresem wyższej szkoły normalnej, a niósł tak błogosławione owoce światła wśród rodzin czarnych, że dziś istnieje już 40-ci podobnych szkół normalnych, dla murzynek wyłącznie.

Gdy Franciszka Willard podniosła miecz ognisty przeciw pijaństwu, tej klęsce podkopującej rozkwit Ameryki, któż byłby uwierzył, że za wpływem tej jednej, bezbronnej kobiety, zorganizowaną zostanie armia waleczących i sieć stowarzyszeń, opasująca dzisiaj świat cały; że dzięki niestrudzonej bojowniczce, prawodawstwo wielu Stanów nakaże zamknięcie szynków, ufunduje domy zdrowia dla alkoholków i poleci wprowadzić do szkół naukowe wykłady przeciw pijaństwu skierowane. Jeżeli pierwsze apostołki wstrzeźliwości grzeszyły krzykliwą propagandą swych zasad, następczyni ich błęd ten natychmiast naprawiły. Mrs. Marya Hunt, profesorka chemii w jednym z kolegów Zachodu, kierowana troskliwością o wychowanie własnego syna, poświęciła długoletnie studia wyłącznemu badaniu wpływu, jaki wywiera alkohol na organizm ludzki. Wyniki badań tych zachęciły ją do wydania nowej krucjaty przeciw pijaństwu.

Tym razem przyłączyli się do niej: profesorowie, doktorzy i duchowieństwo, wynikiem zaś starań ich było wprowadzenie do szkół traktatu panny J. Coleman o napojach wysokowych, zwołanie przeciw klęsce tej kongresu międzynarodowego w 1878 r., oraz wydanie całego szeregu rozpraw specjalnych, rozrzucanych corocznie w milionach egzemplarzy, a przeznaczonych dla wszystkich wieków i wszyst-



kich stanów. „Stowarzyszenie wstrzeźliwości kobiet chrześcijańskich,“ stało się dziś potęgą w Ameryce. Olbrzymi jego pałac, w Chicago, budził podczas wystawy ogólny podziw, środki finansowe, jakimi rozporządza związek, zapewniają mu niespożyty siłę. Przewodniczką jego, z miss Willard na czele, rekrutują się z najlepszych sfer, a wykwiłtne, spokojne, pełne prostoty i elegancji zarazem, w niczem nie przypominają krzykliwych działaczek, jakie Europa chciała w nich widzieć. Należą one przytem do gorliwych lecz nie krańcowych propagatorek równouprawnienia. Miss Joanna Gilder, prowadząca wytrawną ręką *The Critic*, tygodnik poświęcony literaturze i sztuce, zapewniała panią Bentzon, iż za najważniejszy przywilej dla kobiety uważa, aby jej wolno było robić to, do czego okazuje największe uzdolnienie. Prawo głosowania byłoby przedczesnem. Jakkolwiek więc i ta reforma przyjdzie, lepiej byłoby — według miss Gilder — opóźnić ją, aby kobiety, przygotowane dostatecznie do misji politycznej, zajęły w niej od razu właściwe miejsce.

Co do przywilejów politycznych, — mówiła autorce inna z głośniejszych przewodniczek ruchu, Elżbieta Stanton, — otrzymanie je musimy. Trudno nam zadowolić się tłumaczeniem, iż społeczeństwo, przez cześć dla kobiety, stawia ją po nad walką stronnictw. Cześć, którą na wyniesionej tej estradzie, dzielą z nami: kryminaliści, obłąkani i idyoci, wrzuciły nas nie może; a zaiste kojący wpływ niewieści przydałby się oddawna w sferach prawodawczych.

Odsunięte od polityki, Amerykanki do stronnictw jej i zabiegów nie mieszają się czynnie, pośrednio jednak i tu czuć delikatną ich rączkę. W Washingtonie, tem sercu prawodawczem Stanów, do najpopularniejszych pism należy *Kate Field's Washington*, organ, jednoznaczny w tytule: imię założycielki swego i kierowniczką, z nazwiskiem stolicy. Napozór szeszyt ów gruby, ukazujący się co tydzień, to głównie zbiór bieżących i osobistych wiadomości, dotyczących miejscowego „towarzystwa.“ W gruncie jednak, Kate Field wywiera bardzo silny wpływ na sfery rządzące. Sylwetka tej niepospolitej dziennikarki i typowej publicystki nader jest ciekawą. Pracownia jej, zawieszona jak jaskółcze gniazdo, po nad dachami Washingtonu zdaje się być rodzajem obserwatorium, z którego bystre jej oko ogarnia bezustannie cały ruch społeczny i niewieści. Ona to ujawniła światu istnienie Oklohamy, gminy złożonej wyłącznie z kobiet, na terytorium której surowo jest wzbroniony wstęp każdemu mężczyźnie. Ona poświęciła rok życia by zamieszkać wśród mormonów, ogłosić następnie nadużycia sekty tej i rozpocząć zaciętą z nią walkę. Nie jej nie powstrzymało: ani grożące niebezpieczeństwa, ani prześladowania, ani żadne względy. Oburzona na mormonizm za poniżenie kobiety, postanowiła położyć tamę rozwojowi tej sekty i... dopięła celu. Śmiała, nie cofająca się przed niczem a uzbrojona w dowody, pozbierane nad jeziorem Słonem, przebiegała kraj, miewała mowy, drukowała pamflety, podniosła wojnę publiczną i zmusiła rząd do gruntownego wejrzenia w sprawę „Świętych sądu ostatecznego“ i do ograniczenia ich swobód.

Drugim niewieścim typem Washingtonu są, licznie tu zgromadzone, urzędniczkim państwa. Zastęp ich w przeróżnych ministeriach wzrasta z rokiem każdym, przyczem drogą uzdolnienia, wytrwałości i pracy, dochodzą one do bardzo wysokich i doskonale wynagradzanych stanowisk.

Do wybitniejszych postaci należy tu miss de Graffenried, pracująca w statystycznym oddziale *department of labor* a dopominająca się głośno, wraz z miss Elżbietą King, przełożoną klubu *Arundell*, o prawo zabraniające pracy fabrycznej dzieciom. Wstydem jest — według niej — aby w państwie cywilizowanym, lata przeznaczone na naukę zużywane były na wyczerpywanie sił fizycznych. Miss de Graffenried zajmuje wybitne stanowisko, humanitarne więc swego celu dopnie z pewnością. Opiekunką i dobrodziejką innej nędzy, bo Indian skazanych na zagładę, jest miss Fletcher, wychowanka Harvardzkiego uniwersytetu. Zamierzanie do nauki i poszukiwań etnologicznych zawiodło ją do czerwonoskórych, wśród których lat kilka przemieszkała. Śmiałość tę przypłaciła narazie kalectwem nogi, później jednak zrosła się tak z autochtonami, iż miłość do nauki zlała się w jej ser-

cu z wielkiem współczuciem dla tych nieszczęśliwych, na zagładę skazanych. Powróciwszy więc z teką pełną pieśni ich i dokumentów do obrazu historycznego rozwoju plemion rozmaitych, rozpoczęła z jednej strony naukowe swe wydawnictwa, z drugiej gorącą a głośną walkę z tymi, którzy pod pozorem cywilizacji niosą Indianom prześladowania i wytepienie. Tropieni jak dzikie zwierzęta od XVI w. istnieją jednak, a więc rasa to widać żywna; cywilizacya zatem niosąca im tylko zagładę, jest hańbą, lecz nie chlubą, nie słońcem ludzkości.

Przypominamy, iż słowa te humanitarne, piętnujące możnych tego świata, wychodzą z ust słabej, długim pobytom wśród dzikich i chorobami wyniszczonej kobiety. Duch silny a szlachetny nie zawsze w mocnem mieszka ciele. Zachęcona przez tę etnologikę, prowadzi nas pani Bentzon do jedyniej szkoły dla Indian w Carlisle, gdzie miss Róża Bourrassa, z plemienia Chippewayów doskonałym jest profesorem i nie ustępuje w niczem cywilizacji „błędnych twarzy,“ oraz gdzie orkiestra czerwonoskórych, jakby na poparcie teorii miss Fletcher, budzi ogólny zapal subtelnym wykonaniem utworów: Mozarta, Wagnera i wszelkich mistrzów współczesnych.

Na dowód, że wszystkie te idee humanitarne i cała praca szerszego, naukowego, lub społecznego zakresu, nie wyziewa wrodzonych uczuć kobiety, prznosi nas z kolei pani Bentzon do... szpitali. Na 35 szkół, uczących higieny i pielęgniowania chorych, istnieje 1,350 infirmerek i — 75 infirmierów. Większość tych wykwalifikowanych *gardes-malades*, to córki najlepszych rodzin, które ze szczytną miłością i poświęceniem pielęgnują zarówno murzynów, jak bogaczy lub najwstrętniejszymi chorobami dotkniętych nędzarzy. Wprawdzie hojnie uposażone szpitale, dają im w zamian byt bardzo niezależny, ale dość jest widzieć wysmukłą i śliczną dziewczynę, której cała postać nosi na sobie piętno arystokratycznego i zamożnego domu, podtrzymującą na własnych piersiach, wstrętną głowę starego, gorączką tyfoidalną trawionego murzyna, aby zrozumieć, że, nie chęć zysku lecz najczystsza idea poświęcenia i chrześcijaństwa skłoniła ją do obrania podobnego zawodu.

Wszelkie też imiona, jakie pozwoliliśmy sobie zacytować tutaj z pracy pani Bentzon, to zastęp, który należałoby wnieść do „Złotej Księgi“ szlachectwa niewieściego, szlachectwa ducha i serca, tych wybranych a innym przodujących umysłów. Herbarz to zaszczytny, w którym emancypacya niewieścia zapisuje nazwiska pierwszych pionierek swoich, w pracy: społecznej, humanitarnej i cywilizacyjnej.

Anatol Krzyżanowski.

## W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

III.

Skwar palił od samego rana, czyniąc powietrze dusznem i parnem, jakby wonią metaliczną przesiąknętem.

Chmury poczynały przewłóczyć się w górze, na podobieństwo stada olbrzymich żorawi przed odlotem. Słońce się ćmiło; — wkońcu posępna mętność zalała niebo ciemnością, kolorem brązu, żelaza, miedzi zbarwioną.

I sklepienie, tak błękitne i niedościgłe zazwyczaj przy sierpniowej przejrzystości powietrza, teraz niejako przygięło się ku ziemi gęstością obłoków, które falując, zdały się na miejscu stać i coraz grubszą warstwą ugniatać.

Na ziemi z wolna zapanowywała też głucha, głęboka cisza ucisku.

W dużym, okazałym młynie, który główną wartość we wsi państwa Starskich stanowił, na wielkiem kole wstrzymano wodę.

Ogłuszający szum, prysk i łoskot zmalał do szmeru.

Pomiędzy ludźmi ruch znacznie ustał. Niektórzy do chat zajrzeli z trwogą o własny dobytek. Większość nad upust poszła, by w pogotowiu być na rozkazy i na ratunek, gdyby stawidło podnosić należało, zapobiegając wezbraniu stawu i rzeki.

Strach przejmował wszystkich — ów strach bezbronności wobec siły, z jaką walki niema. Jednakże z młodszych niejedyn z fantazyą poglądał ku chmurom. Starsi zaś w milczeniu potrząsali głową, pytając, co im chwila bliska przyniesie: ciężkie zapasy z rozhukaną potęgą — czy może śmierć od pioruna, albo w nurtach fali.

Zdawna pamiętano tu burzę, w której zginęło dwóch ludzi, bo strumienie dopływające ze wzgórz okolicznych przybierały z ogromną szybkością.

Tymczasem w przestworze zrobiło się cicho i spokojnie, że wietrzyk nie drgnął. Groza wzrosła. Zdawało się, że spętała nawet skrzydła wicherów i podmuchy ich ścisnęła; a zawisłszy nad światem, wszędzie iskrę życia tłumila — jak zguby groźba, wobec której nędzny robak równie jak zwierz przebiegły sam śmierć udaje, chcąc śmierć oszukać...

We dworze Dobronowskim, o kroków kilkaset oddalonym od młyna, panował popłoch.

Dwór to był ani wielce wykwiłtny, ani bardzo obszerny, zwyczajnie szlachecki, z rozłożystym ganikiem na filarach wspartym, z ośmiu pokojami, z których dwa zajmował pan na swój wyłączny użytek; a cztery oprócz salonu i jadalni należały do pani, dzieci i niemłodej krewnej, rezydentki.

Było po drugiej.

Na stole w jadalni rozrzucone bezładnie serwety, noże i widelec, talerze z resztkami jedła, szklanki niedopite z piwem — świadczyły, iż obiad przed właściwym dokończeniem przerwano; a służba snadź do innego zajęcia odwołana, sprzątnąć nie zdążyła.

W samej rzeczy lokaj i panna służąca okna poroztwierane zamykali, u pieców zasuwali szyby, drzwi razwraz szpuntując i odmykając w przebieganiu ciągłem. Był to bowiem dzień sobotni, w salonie i gabinecie pani urządziły się gruntowne porządki, przy czem wszystko stało otworem. W kuchni zaś wypiekano świeży chleb i ciasto. Wskutek czego znów być może pani Julia była jeszcze w ranym stroju.

Głowę miała roztarganą, w gęstych dokoła kosmykach; suknię na sobie wolną, mocno wygniecioną, a na nogach zsuwające się pantofle, które pościagała niedbale, przechodząc od okna do okna i wyglądając na burzę, bez wielkiej wszakże trwogi w rysach.

Jania, z całą swobodą dziecka nieznającego niebezpieczeństw, przebiegała po wszystkich pokojach, bawiąc się ogólnem zamieszaniem; — i to przypadała do nianki piastującej dziesięciomiesięczną Cesię, to znów do drzwi gabinetu ojca skwapliwie przykładała uszko, nasłuchując, czy „tatyś“ powrócił.

Wtem rozległ się pierwszy grzmot głucho warczący, i ciemność tak wzrosła, jak gdyby zapadała noc.

Jedna fala ołowiu zalała niebo, chłonąc nawet miedziane i mosiądzu błyski, a zieloność dokoła oblewając bladeścią żółtą. Za pierwszym, wnet zahuczał drugi grzmot głośniejszy — i z tym wichem poderwał się utajony, wierchołkami drzew zakreślił, giął, miotał.

I naraz powstały na ziemi harce między wszystkim, co zazwyczaj zda się spokojne i do miejsc przyrosłe. Między drzewiną silną i wiotką, między krzewami, nawet i kiśmi traw i kwiatów — między pyłem i prochem ziemi. Szatańska siła zdała się wszystko w walkę wtrącać — i targały się, pasowały ze sobą gałęzie, liście, źdźbła — wśród tumanów zbuntowanej kurzawy.

Niebo huczało. Grzmoty jedne za drugimi toczyły się coraz głośniej.

Nakoniec deszcz ciężkimi kroplami spadać zaczął, na upomnienie nędznej, w zapasach szamocącej się ziemi.



I w jednej chwili po pierwszych ostrzegających kroplach, potoki rzęsiste lunęły, sprawiając szum i plusk ogłuszający...

Niecierpliwie walenie pięścią w drzwi i szarpanie klamką załomotało u wejścia przez ganek.

Służący skoczył—otworzył.

— Do krośset dyabłów! czy nie wiedzieliście że powrócę, aby pod własnym domem stać kazać na taką falę!...

Potem nastąpiło rzucenie z impetem laski w kąt, zaświdrowanie klucza w zamku—trzaśnięcie drzwiami po lewej stronie przedpokoju, aż szyby brzękły.

Do jadalni tymczasem, drugą stroną, przez korytarz oddzielający kuchnię wpadł wielki, czarny pies kudłaty.

— A, Hektol! Hektol!... Ojczyś powrócił!—z radością zawołała Jania, i zerwała się z kolan matki, chcąc psa gonić.

— Janiu, cicho; daj pokój psu, chodź mówić pa-ciorek,—upomniwała pani Julia.

Wtem grzmot ryknął — zdało się na dach nad głowami wyrzucił skały.

Pani Adamowa z fotela na kolana spędła. Dziewczynka przeleżała powróciła do niej i obok ukłękła. A przy nóżkach jej legł pies, strzepnąwszy raz i drugi zmoczone kędziory.

W chwili tej weszła też do jadalni panna Teresa, owa niemłoda krewniaczka pani, od zamążpójścia jej mieszkająca razem. Z zapaloną świecą i książką w ręku przystanąła odczytać Ewangelię, — a potem przyklekła.

Za drzwiami od pokoju pana domu słychać było tymczasem szybkie, a głośne, w ciężkich snadź butach stąpanie.

Wreszcie w zamku tych drzwi klucz zaskrzypiał, silna dłoń targnęła klamką:—Adam stanął na progu.

Hektor zerwał się i do nóg jego przypadł. Dziecko obróciło głowę.

— A, tatyś!...

Lecz matka wstrzymała je za rączkę — sama nie podniosła oczu.

— Cóż za komedia!—zabrział głos gniewem kipiący, jak na urągowisko wobec ogólnej trwogi.— Tak! módlcie się, módlcie, a piekło i tak pszeniec weźmie i woda pewno upust pozrywa, drwiąc z waszych modlitw!

— A czy w domu przynajmniej wszystko zapatrzone? Nie puściecie znów wody do piwnic, albo i do pokojów?...

Pani Julia jeszcze głowy nie obróciła, obojętna, a może obrażona przymówką, dotyczącą wypadku, jaki miał kiedyś miejsce.

Panna Teresa też modlitw czytać nie przestała, jeno głos przyciszyła nieco.

Na świecie zaś szum istotnie wzrastał, jak gdyby wszystkie wody z brzegów powystępowały i wezbrana pędziły nawałnicą, bijąc w dach, szyby, mury—zdając się chcieć dom obalić; aż grzmoty wobec tego łoskotu przygłuchły.

Drzwi od gabinetu zamknęły się z trzaskiem; lecz po kilku minutach napowrót otwarły.

— Co? jeszcze się modlicie? Jeszcze nikt słowa przemówić nie raczy? Janiu! chodź do mnie!

Dziewczynka zerwała się pośpiesznie, lecz matka znów przytrzymała ją za rękę, i, powstawszy, do sąsiedniego pokoju poprowadziła.

Twarz Adama krwιά się oblała, oczy błysnęły gniewem, lecz usta gorzki ból skrzywiły.

— O, tak, tak! Obrażać się i naprzekór czynić, to istotnie właściwe sposoby, aby mnie pozyskać! Ha! ha!

Zamknął drzwi i kluczem w zamku zakręcił, według zwyczaju.

I znów tylko echo głośnych, nerwowych kroków się rozlegało.

Burza tymczasem przycichać zaczęła. Grzmoty słabną, czarne na niebie bałwany, skupione, zgęstniałe, rozciągając się, szarzeją. Ale strumienie deszczu szkliślą falą wciąż łączą niebo z ziemią, jak gdyby chcąc wszystko zatopić.

Służba struchlała przedtem, w gromadę zbita w kuchni i kredensie, zaczyna odzyskiwać ruch i odwagę—i na świat wychylać głowy, ciekawa śladów zniszczenia.

Po chwili lokaj wchodzi do pokoju sprzątać ze stołu. W tem gospodyni wpada z krzykiem i lamentem,

— Chryste Panie! Rzeka upust zerwała—staw wylał—woda przez łąki wali! Młynarczyk przyszedł po pana... Jezus! Jezus!... A co z pszenicą?!

W sąsiednim pokoju słychać znów gwałtowne kroki—potem trzaśnięcie drzwi jednych i drugich. Adam wyszedł.

Minęła godzina—dwie i trzy—nie wracał. Chłopiec kredensowy doniósł, że konia zaraz przed stajnią dosiadł, pod młyn podjechał, a potem ku upustowi ruszył.

Deszcz, coraz drobniejszy, ucichał zwolna i całkiem ustał. Ale świat po tych zapasach wyglądał ciemno, ponuro, powodzia zbity i zmęczony. Żółte, jak glina zarobione wody rozwały się po wesołych przedtem przestrzeniach. Rzeka huczała jeszcze jak morze. Blisko, przed domem na drodze stały czarne kałuże; podwórce między zabudowaniami raczej był do sadzawki podobnym, z kilku wyspami, wyżej sterującego gruntu. Po niebie przewłóczyły się jeszcze ostatki chmur szare, bezkształtne, jak szmaty poszarpanych żagli. A słońce już wcale się nie pokazało, kędyś za gęstą schowane oponą.

Służba dworska razwraz jeszcze przystawała, rzucając robotę dla udzielania sobie nawzajem wieści, których głównie dostarczał chłopak kredensowy, z natury wścibski, a częstym nasłuchiwanym pod drzwiami pokojów w ciekawości zaprawiony. Z nad upustu właśnie powrócił i sprawę zdawał:

— Ludzi chmara się kręci po brzegu, a woda huczy i *wirze*—o włos Jaska nie *capsnęło* i nie porażło, bo chciał bełę wyłowić z roztarganego mostu—miałby z mieśnię na podpałkę!... Pan krzyczy, że w uszach huk, a dozorca ze młyna jakosi niebardzo wie w co ręce kłaść.

— A więc pan nie zginął i nikt nie utonął.

Piastunka—być może—przyniosła do pokoju wiadomość, że ofiar z ludzi nie było żadnych. A być może, iż pani Julia i bez tego upewnienia wcale się nie trapiła niepokojem, wciąż na meza urażona. Przynajmniej zgoła nie było po niej znać trwogi.

Strój ranny, niedbały zmieniła nawet na inny, zdała bijący w oczy żywością barw złotego paska i kraciastej bluzki, i tak wyjątkowo starannie przybrana siedziała najspokojniej w jadalni na zwykłym miejscu, przed stolikiem nieopodal drzwi do ogrodu prowadzących, i obracała w ręku wieczystą, splątaną robotę włóczkową.

Minęła jeszcze godzina. Mrok zapadał wieczorny. Do kolacyi nakrywać zaczęto.

Jania w gałganki obwijała lalkę „przed deszczem,“ i unosząc nieco sukienkę, niby brodziła po wodzie, jak dworskie dziewczki, które widziała przed tem przez okno.

Mała Cesia na podłodze z niańką się bawiła.

W tem przez ganek, z poprzednim łomotem i hałasem wszedł Adam, jak zwykle najpierw do swoich pokojów; bezpośrednio z przedpokojem łączących. I chodził, znów chodził po gabinecie krokiem żywym, niespokojnym, w ruchu zawsze szukając upustu dla swego wzburzenia.

Wreszcie odemknął z klucza drzwi do jadalni—i w progu stanął.

— Kolacya nie gotowa?... Jak pies głodny wyszedłem z domu. Trzeba było o tem pamiętać! — ostro zawołał.

Widząc wszakże iż lokaj nakrywanie kończył, przez co nadzieja rychłego posiłku błyskała, nie cofnął się z powrotem, a po stołowym, dużym pokoju wędrowkę zaczął i wąs niecierpliwie razporaz targał, albo włosy kędzierzawe przegarniał ręką.

Lokaj na widok pana życia nabrawszy w ruchach, wnet zapalił wiszącą lampę i tacę pod samowar postawił na stole.

— Wódkę daj!—rozkazał mu Adam.—Julio! może raczysz klucze wypuścić z kieszeni.

Pani Julia z widocznym ociąganiem z miejsca powstała.

— Jemu daj klucze, mówiłem! przyniesie prędkiej!

Sługa się podsunął, lecz pani domu kluczy nie oddała—sama wyszła.

— A! — syknął Adam, ramionami rzucając. — Ile razy prosilem, aby miała pod ręką, co mnie potrzebne! I po co to, po co chować po dziurach rzeczy codziennego użytku? Na cóż wreszcie ta szafa? A służba i tak kradnie, gdy zechce!

Niecierpliwosć z oczu mu tryskała. Pot kroplami stał na czole. A kurtka szaraczkowa, błotem obryz-

gana i wysokie buty prawie do kolan zamoczone, świadczyły istotnie, że się zgoła nie oszczędzał i mógł być zgorączkowanym i zmęczonym.

— Tatyś! widzi lalę jak *ubłana*?—podbiegając ku niemu zawołała Jania i pokazała porcelanową, eudacnie poobwijaną ulubienicę.

Adam spojrział na dziewczynkę zrazu jak nieprzytomnie, nawet głosu jej zdając się nie słyszeć. Lecz po chwili—oczy jego pełne ognia i gniewu padły na nią raz drugi ze świadomością, jak po przebudzeniu—i złagodniały. Wpatrzył się też w dziecko tkliwie, z upragnieniem, z namiętną tęsknotą, z rzewnym smutkiem, jakby zdaleka myślą przywołany—czyżby z nad wód, gdzie oglądał straty?... I patrzył tak, patrzył—aż pochylił się nagle, pocałował małą gorąco w oczy, w usteczka, w czoło—i znów raz drugi i trzeci w oczy i usta.

Ale w sekundzie, snadź poczuwszy pragnienie, które wściekle go paliło, syknął, i za sznur od dzwonka pokojowego szarpnął.

— Wody karafkę świeżej!—krzyknął wystraszonemu słudze.

Żona w samej rzeczy jeszcze ze spiżarni nie wracała.

Dopiero gdy trzy szklanki duszkiem wychylił—pojawiła się z butelką i masielniczką w ręku, a za nią Teresa z chlebem, serem i ciastem na tacy.

— Ha! radziłbym po śmierć posyłać ciebie temu, kto umierać nie chce! — wyrzekł Adam z szyderstwem i z rąk Julii wydarł butelkę. — Kieliszka! — zawołał oglądając się za lokajem. Lecz równocześnie już ze stołu szklankę porwał, do pół napelnił, wychylił.

Wódka mocna być musiała; świeczki w oczach mu stanęły. Palce w gęstych włosach znów zatopił—i napowrót po pokoju chodzić począł, tak obojętnie stąpając obok małej Cesi, że zdawało się, że gotówby ją butem nadepnąć, gdyby na drodze się znalazła.

— Wszystko dyabli wzięli!—wybuchnął.—Pszenica zbita—upust zerwany—młyn stanie... Przekłęta burza!

— A czy nie można było stawideł podnieść wczasu? przecie widziałeś, że chmury ciągną, — odezwała się Julia.

— Tak—tobie należało nadzór powierzyć! My zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy. Ale ty byłabyś niezawodnie umiała lepiej podołać i z ratunkiem zdążyć, jak ze wszystkim, jak z tą kolacyą!

— Ja najpierw nie byłabym tego młyna kupowała i tej wsi całej, — z błyskiem żywej niechęci odparła żona.—Potrzebne te przedsiębiorstwa? Pieniędzy z biurka nie byłaby woda zabrała.

— Nie twoje onel... O, twoje nie przepadły i nie przepadną nigdy, nie lękaj się tego, bo ich nie naruszę! A nie suszyłaś mi głowy, aby w sąsiedztwo Horzelowa ściągnąć?...

— Tak, chciałam tego, prawda! aby mieć przynajmniej ze Stefanowej towarzystwo, gdy mnie sama w domu pozostawiasz. Lecz nalegając nie wiedziałam zgoła, że znów dla ciebie bliskość N. N. wielki urok mieć może,—wyrzekła z wyłącznym naciśkiem na ostatnich słowach.

Adam spojrział zdziwiony.

Pierwszy raz podobny docinek z jej ust posłyszał; nie rozumiał zkąd jego źródło. Nie zastanawiał się nigdy nad tem, czy żona znała cokolwiek z jego przeszłości, a tam mniej przypuszczał, aby wiedzona ciekawością posunęła się aż do „ogładania“ dawnej ukochanej.

Wzmianka ta w innej chwili byłaby może całkiem inaczej, poruszyła w nim świat uczuć i wspomnień zgłuszonych. Teraz padła niejako na grunt w pewien sposób przytępiały; bo gniew, niecierpliwosć, rozstrój nerwów, zmęczeniu fizycznemu i straceni wywołany, pozbawiły go poniekąd zdolności odczuwania niepowiązanych z tem wrażeń. To też nie wybuchnął na razie, nawet nie odciał szorstko.

Lecz cała jego moralna istota była materialem palnym przesiąknięta. Więc pocisk na pozór błahy i chybiony, a właściwie ogromną opatrzony wagą, po kilku minutach odbił się ostro w jego mózgu i zjadliwie zaświdrował; zwrócił się zaś przeciw tej, która go rzuciła.

— Co?... I na tem zęby ostrzyć się ośmiela?—błysnęło mu w głowie, a w sercu war natychmiast kipiść zaczął.



Prysnęło chwilowe odretwienie, czy oszołomienie. Obraz Joasi, wywołany wybił się przed oczyma jego poraz pierwszy nagle, a z taką wyrazistością, takim upragnieniem, ukochaniem, że targnął wszystkimi strunami czucia zastygnięmi w duszy, i w krwi żar podniecił.

Ona *tamtę* poważa się tykać?!—powtórzył w duchu, z gardłem aż zdławionem wściekłością; i piorunującym wejrzeniem ku żonie cisnął.

Gdy wzrok jego wszakże padł na twarz jej uśmiechniętą w pół złośliwie, w pół tryumfująco, chłód na całym ciele poczuł.

W postaci jej bowiem napotkał obraz tak odmienny od ujrzanego w myśli i wprost zniechęcony, ale rzeczywisty i całą nieubłaganą rzeczywistość tak uosabiający w sobie, że doświadczył nagle jakby brutalnego rozbicia, niejako bezmiłosiernego w twarz uderzenia, które straci człowieka w pył.

Wszystko, czego pragnął, i co kochał, a co spowiewał, całe jego „ja“ wewnętrzne dawne i dzisiejsze w oka mgnieniu przewinęło się w jego myśli.

I życie wydało mu się naraz tak głupią farsą, nędzną parodią,—ta wyższość *tej* nad *tamtą* własnymi rękoma zbudowana przez samo stanowisko na jakie ją wyniósł, wydała się takim szczytem ironii, że wściekłość kipiąca w nim rozplynęła się w gorzki, wszystko w nicosć obracający śmiech kłowny, który przywdziawszy raz błazeńską skórę, jęk, łzy i ból obraca w żarty czepiające się drobnostek, z głupstw wysysające strawę i w głupstwach roztopiające treść istnienia.

Już był napowrót całym duchem tylko na ziemi, w tem środowisku, z którym się zrosnąć nie był w stanie, w otoczeniu w którego ramy z trudnością i z buntem wsikał swoją duszę. Ale już był takim jedynie, jakim od tych lat paru się stawał i przedstawiał.

Wzrok jego uderzył teraz nawet szczegóły ubrania Julii, którego przedtem nie widział wcale. I chęć zemścić się za jej śmiałość, starcia jej odwetem, przybrała tę formę, w jakiej niechęć jego objawiała się najczęściej.

— A, i cóż to pani się tak wystroiła? Ha! ha! — zaczął ze śmiechem. — Dawno tego nie miałem szczęścia oglądać! Prawie teraz kufle z piwem roznosić między gośćmi w salii!

Julia nie była w stanie odgadnąć i pojąć przebiegu uczuć jego i myśli. W każdym jednak razie impertynencją złośliwość tej uwagi przypisała rozdrażnieniu wywołanemu przytykiem, jaki uczyniła. Więc nie wzięła bardzo przykrości do serca, lubo zaczerwieniła się cała. A chcąc niby drwinkami wet za wet odpłacić, rzekła:

— Pragnęłam panu się podobać...

— Mnie podobać?!... Ha, ha, ha! — zaśmiał się Adam i ramionami wzruszając, już z wyraźną nienawiścią błysnął ku niej oczyma.

— Istna kucharka! Chwiejąca wieża!... — przez zęby rzucił. — Tak w sam raz do dzwigania korca kartofli na plecach!...

Ona połowy nie dosłyszała, bo już był na drugim końcu obszernej jadalni. Zresztą wszystko kładąc na kark chęci zemsty, a doświadczając pewnej satysfakcji ze względu, że natrafiła na punkt dla niego drażliwy — już wpadała niemal w zwykłą apatyczność i niezdarnie, a obojętnie podjęła ustawianie przyborów do kolacji na stole, niecierpliwosć jego wyczerpując do ostatnich granic.

Trudna niesłychanie dola przypadła jej w udziale. Przyjęła za męża człowieka, którego znała bardzo mało i nader powierzchownie. Serca jego na godzinę nie posiadała.

Co popełniło go do małżeństwa ani się zastanawiała, ani pytała. Sama, flegmatycznego temperamentu, miała dla niego przywiązanie bardzo umiarkowane, które wkrótce, zrażone, ochłodziło. Brakowało im zatem obojgu najsilniejszej spójni i jednego z najpewniejszych kierowników w postępowaniu: uczucia. Prócz tego jej z natury nie dostawało taktu, pobłażliwości, kobiecej intuicji, podszeptującej właściwe wyjście, i nawet dobrej chęci, aby zastosowywać się do woli tego, z którym losy ją złączyły jednym z tych zbiegów okoliczności, jakie są tylko dowolnym dziełem nierozwagi ludzkiej.

Nie posiadała nawet pewnej jednolitości w postępowaniu, który znów poryweze i ostre jego obejście też wyrobić w niej nie mogło.

Same przeskokki od zupełnej obojętności i wyłączenia siebie niemal we wszystkim, aż do poniżającego narzucania; susy od krańcowej niedbałości, do wysiłków przystroju i gwałtownej chęci przypodobania się — budziły w Adamie, śmiech, gniew, niechęć, aż do oburzenia, wstępną, niemal pogardę.

Ponieważ zaś jego stan moralny po nagłym zerwaniu z narzeczoną byłby wymagał dla ukojenia tkliwości i wszystkich przymiotów w zdwojonej sile — więc oczywiście brak ich w dwójnasób się wydatniał i na wzajemnym stosunku odbijał. I ponieważ ani jedno nie czyniło ustępstw na rzecz drugiego i nie pracowało nad tem, aby rozdzwięki łagodnić, z drobiazgów urastały przeto ciężkie przykrości i bezustanne utarczki. Zaciętość podniecała zaciętość; słowo szorstkie, opryskliwe utrzymywało upór i nierozsądek; podrażnienia wzmagaly się, z każdym dniem zaostrażając stosunek.

— A może to pani wybiera się w sąsiedztwo do Romanów na jego imieniny? To każę zaprzężyć karete!

Jutro znów imieniny ich woźnicy Wawrzyńca — można też pojechać, — odezwał się Adam szydyczką po chwili.

— Za jutro dziękuję, panu tę przyjemność pozostawiam. Ale dziś pojechałabym z ochotą, tylko nie sama, bo wiesz, że na zebraniach sama być nie lubię...

Tego tylko potrzeba było jeszcze Adamowi.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się w głos cały.

— Wybornie! wysmienicie!... Lecz ja pani służyć nie będę! Miałem dosyć hasania i zabawy z wodą i błotem, — mówił już bez drwin, a iskry z oczu sypiąc, widocznie dotknięty w drażliwy punkt tą odpowiedzią, jako dowodem braku względu na to, co sam przechodził.

Podniósł też ramiona w górę, jak gdyby ciasno było mu w ubraniu, duszno w tym własnym domu — może duszno i źle na całym świecie?

Wtem pies z korytarza wypadł, do rąk jego się rzucił, i prychając, parskając, a ogonem wywijając radośnie skoczył mu na piersi, po twarzy, ubraniu liżał.

Adam poddał się jego gwałtownym pieszczołom bez oporu, nawet z widoczną przyjemnością.

— Hektor! Hektor, leżeć! ty wielbłądzie! — wołał, ale za pysk, za łapy brał dzikiego faworyta, za uszy targał go, niby odpychając wabił, i po szyi kudłatej głąkał.

Na czole miał zadumę, we wzroku mgłę, jak gdyby mu pod czaszka szumiał jakiś odmet.

Potem wśród figlów tych spojrzął nagle przed siebie jak odurzony i rękę wyciągnął w stronę, gdzie na podłodze siedziała Cesia, a obok leżała duża lalka Jani.

— Hektor — apporte! — wykrzyknął naraz

Pies rozigrany, z pyskiem otwartym, jak niedźwiedz wielki rzucił się, łapą uderza dziecko i w zęby chwytą za sukienkę.

Krzyk i zamęt okropny zawrzał.

Wszyscy krzyknęli zacząwszy od biednego maleństwa, aż do lokaja, który wnosił samowar. Wszyscy z miejsc się porwali, wyjąwszy Adama.

Piastunka do psa przypadła, by dziecko wydrzeć — Jania do matki — Teresa oczy rękoma zakryła z przestachem.

Julia widząc małą we krwi, a głosu jej nie słysząc, rzuciła się jak szalona.

— Zabite dziecko!... zbrodniarz!... zbrodniarz! — krzyknęła, Janię porwała na ręce — wybiegła.

— Do krośset! — zaklął wtedy Adam, w oszołomieniu wciąż stojący na miejscu, i obcasem kopnął psa, który u nóg jego legł jeszcze ziając.

— Waryat! nie mógł aportować lalki? — rzucił z oczyma krwią nabiegłymi i otrząsnął się, jak po walce z falą wód, które były początkiem nieszczęść dnia tego.

Potem za progiem gabinetu zniknął.

Tymczasem rozruch wzrósł; wszyscy przybiegli kto żyw był we dworze i ofieynie. Ciżba zrobiła się koło dziecka; cucono je, wodą oblewano, ale krew z rozplatanego pazurami policzka nie przestawała płynąć.

Wkońcu przeniesiono nieszczęsną Cesię do dziecinnego pokoju, by skuteczniejszy dawać ratunek — i wyczerpywano wszystkie domowe środki, chcąc przynajmniej krew zatamować. Kto co wiedział,

doradzał; a przypuszczeniom, wnioskom, postrachom końca nie było.

Panna Teresa w płaczu i ubolewaniach nie ustawała. Ale ekonomowa nalegać poczęła natarczywie, aby doktora sprowadzić.

Już tedy konie wysłano do miasta, już doczekano się nawet, że dziecko otworzyło oczy i rączkami poruszyło — gdy zauważono dopiero nieobecność matki, ochłoniwszy z pierwszej trwogi i chaosu.

— Ale gdzież to pani? — zagadnęła przedewszystkiem gospodyni, zamaszysta, przytomna niewiasta, często swą panią mająca na myśli.

— Prawda! Gdzie pani? — powtórzyła z przestachem panna Teresa, a za nią kolejno inni...

Dalejże więc szukać Julii po salonie, sypialni, wszystkich pokojach i kątach dworu.

— Ani znaćku, ani krzytu! — oznajmiała rezolutna gospodyni, więcej narazie dumna z tego, że pierwsza na trop drugiej nadzwyczajności napadła, niż przerażona. — Ale to i Janki niema! — wykrzyknęła jednak po chwili. — Chryste Panie! Cóż się stało?... Rany Boskie!...

Panna Teresa zelektryzowana, wylekła, szybko otarła łzy i do kuchni wybiegła badać, czy ktokolwiek ze służby, która już się z pokojów rozpierzchła, nie widział czego i nie wie.

Po chwili wróciła do jadalni niemniej pomieszana i prosto pod drzwi Adama zmierzyla.

— Proszę otworzyć! — wołała z niezwykłą sobie śmiałością.

— Julia z Janią zginęły, w całym dworze ich niema! Proszę otworzyć!...

Klucz w zamku zgrzytnął. Adam wychylił głowę blade, chmurny, z brwią ściągniętą.

— U mnie ich nie znajdziecie, — rzucił szorstko i drzwi przed nosem zamknął.

Odpowiedź ta ironią brzmiała, ponieważ żona nigdy progów jego mieszkania nie przestępowała, a dziecko jedynie, gdy sam je zabrał.

Panna Teresa zawrzała też oburzeniem istot zazwyczaj łagodnych i miłych.

— To nie żarty, Adamie! Rozpacz Julią niosła. Wy na gałęzi lub w rzece znaleźcie ją możecie!...

— Co ma wisieć, nie utonie!...

— O! Boga, Boga, bój się człowieku! — Gdyby tak z moim dzieckiem kto postąpił... gdybym ja... to nie wiem, nie wiem, co bym uczyniła!...

— Wy wszystkie jesteście głupie! — przerwał Adam, napowrót głowę pokazując. Czyż chciałem aby pies pokaleczył dziecko? Nie bierzcież mnie za zbrojnego i ludożercę!...

I próg przestąpiwszy puścił się po jadalni. Ręce w tył założył, ramiona wznosił.

— Hece, skandale, — mówił raczej rozżalony niż gniewny; — czy nie miejsce jej przy dziecku? — Cóż, z pochodniami szukać jej każe? — dorzucił wszakże wnet popędliwie.

— A ja ci mówię, nocy nie czekaj! Poślij za Julią — wody wezbrane!...

— Jeśli się utopiła, to jutro wypłynie! — po chwilowem złagodnieniu, wpadając we wściekłość, odparł porywezo. A komu pilno, to niech dziś łowi. Włoków nie brak i podrywki, wędkę nie weźmie, — szydził, w oka mgnieniu pozwalając huczeć w sobie passy, którą podniecało poczucie własnej winy, ściierające się z zuchwałstwem natury hardej i nieuległej, a w dodatku i nienawiść do tej, co zło zaostrzała swem postępowaniem; bo już ciż uważał, że Julia zniknięciem z domu stokroć większą wagę nadawała wypadkowi.

— To ja sama służbę roześle, fernali pobudzę! — wykrzyknęła Teresa. — Biedna, biedna Jania z matką!...

I na ganek wypadła.

— Jania?!... — wyrwało się z piersi Adama głosem z wnętrzości wydartym, jak gdyby dopiero teraz posłyszał, czy zrozumiał, że i dziecka starszego niema. — Al! to życie! okropne życie! — wyrzucił z rozpaczą i głową jak koń zataczając, palce splótł, że w stawach trzasnęły.

Przeszedł przez pokój tak gwałtownym krokiem, jak gdyby w piersi pasował się z burzą...

Gdy w stajni się znalazł, czterech fernali już nie zastał. W godzinę powrócili — z niczem. Ani w ogrodzie, ani w młynie, ani w lasku pobliskim i nad stawem żadnego śladu.



— Więc do krośset piorunów! sępy jej nie porząły—w ziemię nie zapadła! — huknął Adam jak przedtem wściekły.

Teresa tymczasem głowę ujęła w dłonie jak w obręcz i tak chodziła w kółko, widocznie jeszcze szukając w skołatanym mózgu rady, wskazówki, nadziei.

W tem gospodyni stanęła na progu po cichu i migami wzywać ją zaczęła, snadź nie chcąc zwrócić uwagi pana, który też okrażał stół, z marszem na czole, zaciśniętymi ustami, a głową spuszczoną.

— A to, proszę pani, do Horzelowa jeszcze posłać. Niezawodnie pani do państwa Stefanów z dzieckiem uciekła...

Teresie jakby światło zajaśniało. Uszczęśliwiona, w sekundę już znalazła się w korytarzu. Lecz pomiarkowała, że z gołym słowem niegrzecznie i niepolitycznie wyprawiać służyć. Więc powróciła, i napisała kartkę w kilku uprzejmych zdaniach, pokrywających całe zajście tylko wzmianką o „nieporozumieniu“, prosząc o wiadomość, czy Julia przypadkiem tam się nie znajduje.

W niespełną półtorej godziny posłaniec powrócił z Horzelowa, ledwo o trzy wiorsty oddalonego.

Przyniósł list od samej pani Stefanowej, stryjecznej siostry Julii.

List ten oczywiście przypuszczenie potwierdził;—ale równocześnie był wyrazem zapowiedzi tej: że pani Adamowa do domu nie powróci—i nie przebaczy tak łatwo „zbrodni“, jak przebaczała „przestępstwa“ inne.

We dwa dni pani Julia przyjechała do Dobronowa w odwiedziny do chorej Cesi i po trochę niezbędnych rzeczy.

Lubo zaś wybrała porę, w której Adam zazwyczaj w domu nie bywał, zetknęła się z nim jednak, bo z powodu zatrzymania młyna i nadzwyczajnych robót około zerwanego mostu i upustu raz wraz do gabinetu wpadał.

Nastąpiła więc rozmowa, która wnet przemieniła się w ostrą sprzeczkę.

Julia, niezawsze odważająca się głos śmiało podnosić, po kroku wszakże na jaki się zdobyła dom opuszczając, nabrała większej pewności siebie, do czego nie miała zapewne przyczyniły się narady z krewną, znacznie starszą, a energiczną niewiastą. Dość że odrazu przywitała męża wymówkami, i wprost zalała go potokiem zarzutów, pretensyi, czepiając się drobnostek, które przez samą ambicją pomijać należało, a swoich przewinień weale nie uznając.

On zaś już rozdrażniony wielce, na tego rodzaju obejście zaciął się jeszcze bardziej. Skrucha, która chwilami w nim wzbierała, zamieniła się poprostu w gniew i zatwardziałość.

Przytem zostawienie Jani w Horzelowie, co przeczytał za rozmyślną wyrafinowaną dokuczliwość—dotknęło go do żywego.

Matka wiedziała czem to dziecko było dla niego, czem nawet krótkie z niem widzenie.

A on sam może bezwiednie czuł, że dziecko to w tej chwili byłoby mogło stać się łącznikiem między nimi, dopomagającym do pojednania i zapomnienia uraz. Przykrością zaś nieobecności tylko uprzytomniało jeszcze dobitniej wszystkie drobne ale klujące „na przekór“ i dotkliwe drażnienia.

Więc żal miał podwójny, gorzki w głębi serca. Nie zatrzasnął wszakże drzwi jak zwykle przy sporach, lecz bronił się zrazu łagodnie.

Dopiero gdy usłyszał oskarżenia godne rozbójnika, gdzie nie mogąc ścierpieć podnoszenia winy swej do rozmyślanej zbrodni, ostro zaczął odpierać pociski, unosząc się i zrywając.

— Gdybyś miała rozum, logikę,—mówił w końcu doprowadzony do sztycherstwa,—ale cóż? odwoływać się do ciebie próżno, bo ich nie masz to wiedziałyś przecie, że gdybym dziecko chciał zabić to bym mu prosto w łeb strzelił. A gdy będziesz ze mnie robiła zbrodniarza, mordercę, zbrojca, to prawdziwie się wścieknę i wszystkich trawować będę; a wówczas dopiero poznasz mnie i godnym szubienicy będziesz miała prawo mnie czynić...

— Tylko że ja tego oczekiwać nie myślę. Pierwej o rozwód albo separację się postaram i zostawię cię samego z twoją gwałtownością.

— A rozwiedź się, rozwiedź! odseparuj! Uwolnij mi raz nogi od tych kul, jakie dzwigam! Ja pierwsze kroki do tego ci ułatwię...

Tej odpowiedzi Julia się nie spodziewała. Zdumiona, zamilkła.

W całym jej wystąpieniu i wszystkich odgrózkach było raczej to „używanie“ istoty zwykle zahukanej, która przecie miała sposobność wsiąść na kark. Były więc postrachy rzucane bez rzetelnego przekonania i zamiaru. Nie myślała ani długo u krewniej siedzieć, ani tem mniej rozłączać się z mężem. Nado była przywiązana w swój sposób do dzieci, a nawet do stanowiska, bytu i wygod, których nie byłaby mogła używać w takiej pełni, ponieważ jej suma posagowa nawet połowy tego nie wynosiła, co majątek męża. Pozałowała, tedy zbyt hazardownego, obosiecznego pocisku, który się znowu przeciw niej zwrócił, a odrazu wydał zagrażającym.

— A jeśli zechce powrócić do „tamtej“—błysnęło jej przez myśl, natychmiast zawiś budząc w sercu. Lecz cofać rzuconych słów nie podobna było. Należało więc pełnąć niemi jeszcze głębiej, aby się przynajmniej przekonać, co ostatecznie wywołają.

— Ale zabiorę oboje dzieci,—rzekła po namyśle, z boku na niego patrząc.

Adam podniósł oczy z niedowierzaniem; podszedł i ten wzrok probiereczy w twarzy jej utkwiał.

— Tak—zabiorę!—powtórzyła wytrzymując spojrzenie śmiało.

Rysy jego drgnęły, źrenice błysnęły ogniem. Zdawało się, że chciał cisnąć jej jakimś wyrzutem ostrym, boleśniejszym od wszystkiego, co rzekł dotąd.

Lecz odsunął się — odwrócił — jeszcze zastanowił,—i w końcu rozpostarł ręce jakby mówiąc: „próżno kołatać do uczuć, jakich tu niema!“

Potem usta zaciął, głową potrząsnął, ręce w tył założył—i siłą przyzwyczajenia puścił się w wędrówkę po pokoju—lecz krokiem wolnym, ciężkim, zmęczonym, jak gdyby ołów dzwigał u stóp.

Ona z jego zachowania i twarzy nie wyczytała nie umiała. Czują tylko, że wystrzał ugodził głęboko i świdrował w mózgu. Ale jak?

Mileczenia przeraziła się wszakże więcej, niż najgwałtowniejszych wybuchów.

Chciała doczekać odpowiedzi—lecz napróżno.

Adam, z głową zwieszoną począł tak obojętnie przechodzić koło niej, jak gdyby istnieć przestała. Ociepał się niemal—nie czuł; nie widział. Pękły ostatnie jednoczące ich węzły—żona stała się dla niego sprzętem zupełnie obcym i martwym.

Julia zniecierpliwiła się, uraziła — odjechała,—Cesię chorą, obandażowaną przez doktora, który z pokoju ruszać jej nie pozwalał, zostawiła nadal opiece Teresy.

Turkot powozu się rozległ—Adam obudził się z zadumy. Spojrzył dokoła po pustce, którą potęgowała cisza zalegająca dom cały.

Potem w swoim pokoju się zamknął i na sofę rzucał. Z oczyma w sufit utkwionymi leżał.

Krótki jęk począł wszakże wydzierać się z jego szerokiej, silnej piersi—i znów zawołał: „Ach, to życie!... życie!“

Lecz nie strata majątkowa go gryzła. Fala wody wzięła—fala czasu przyniesie. Rok traci—rok płaci. Pierwsze niepowodzenie uczyniło ryse, lecz bytu podkopać nie mogło. Było wprawdzie niemiłą przepowiednią, spadając niespełna w rok po osiedleniu w Dobronowie; ale młyn wogóle przedstawiał interes świetny i mógł wkrótce kłęskę powetować. Zresztą nigdy pieniędzy bałwochwalczo nie cenił. Więc nie ztąd płynęła skarga.

A oto:

Lat trzydzieści dwa ledwo liczył, młody był,—a zwątpiały; silny—a znużony.

Gorąco w piersi czuł—chłód rozwiewał.

Chciał kochać—nienawidził; potrzebował tkiwości, serca—zbiierał i siał nieprzyjaźń, gorycz. Budować pragnął—a burzył! Sam, własnymi rękoma niszczył, własnymi nogami podeptał to, co jedynie wydawało mu się upragnionem i coś wartem szczęściem na ziemi. Sam połamiał w sobie siłę, która podnosiła — życie wypaczył u podstaw — i teraz pełnąć na równy tor już nie umiał, czy nie miał sił.

Wszystko szło na opak—Cóż z nim się stało?!

Nigdy nie zwracał się myślą do tej, która była punktem środkowym wszystkich jego dążeń w latach młodzieńczych. Nawet teraz nie myślał o niej,

lubo okoliczności rzuciły go w strony jej blizkie i mogły nawet przed oblicze jej postawić,—co pod uwagę brała nawet własna żona, jak się przekonał. Postępował tu z bezwzględna krącością sobie właściwą. Wiedział, że umarła dla siebie ją uczynił, i nie chciał dotykać przeszłości. Ale w tej chwili poczuł jaśniej niż kiedykolwiek, że z dniem każdym stacza się coraz niżej ku przepaści—i powstrzymać się nie może, sam sobie na pastwę rzucony.

— Bo i co ja w życiu mam?... Co mi pozostało? Co ja mam?!—powtarzał z rozpaczliwym poczuciem pustki, niezadowolenia i braku wszelkich głębszych motorów dla uczuć swych i czynności.

— Dzieci?... A!...—rzucił jak z piersi zranionego wilka, i głowę zarył w miękką skórzaną poduszkę.

Młodszej nie kochał. Dziecko to nie było zgoła owocem pragnień jego serca; przytem miało twarz i oczy matki, której coraz bardziej niecierpiał, więc jako żywy jej obraz stawało się niemiłe, prawie nienawistne.

Ale Jania! To dziecko jego bólu, jego serca krwią ciekącego świeża! Dziecko przez rozpacz i cierpienie drogą, jak inne drogiemi są przez rozkosz uniesień w poczęciu.

Szalał, gdy ślub brał. Żenił się z pierwszą lepszą ze znajomych, która się nawinęła, i zwabiła go, by się wydać. Żenił się z wściekłości własnej, na złość tamtej, z poczucia, że ona pogardza nim, z chęci rzucenia jej w oczy tryumfem, obojętnością; w celu zabicia własnego bólu i zagłuszenia samego siebie, a zamknięcia ust ludziom. Czuł nikczemność zdrady, jakiej się dopuścił—i małżeństwem tem, jak wariat kaftanem pozwalał pętać ręce, by głowy nie roztraskać. Zdeptał serce—lecz ono jeszcze krzyknęło o miłość, o ciepło, zatłumić się nie dając nawet uściskiem żelaznej ręki.

I wtedy zapragnął dziecko mieć własne: duszę dla duszy, serce dla serca—ciałko ciepłe dla ust, oczy przyjazne do patrzenia, żywą osłodę dla ran. I na to dziecko pierwsze z własnej krwi, przelał cały płomień uczucia, tęsknotę całą—i bólu piękną cy żar.

Jania była zatem spójnią między nim, a życiem, podniecią w zniechęceniu; iskrą podtrzymującą poczucie człowieczeństwa.

— „Ale teraz i to mam utracić!“ — pomyślał z goryczą.

A groźba ta zamiast zmięczyć go, podsycała zaciętość głuchą, lecz wzbierającą jak rzeka, do której zbyt wiele wód napłynęło. Jeszcze kilka więcej pierścieni fal, a tamy zerwą się w nim jak w upuście stawidła.

Tu wszelkie myśli jego wzięły kierunek nowy. Albowiem Julii propozycja rozwodu nadała kształt niejasnym jego majaczeniom, których dotąd nie oblekał w słowa, ale które teraz zrozumiał.

— „Ha! nie czułbym przynajmniej kajdan od rana do nocy!“—rzucił otrząsając się na obraz ciągłych swarów, sprzeciwiań, pretensyi,—całej atmosfery swego codziennego życia, która przygniatała umysł ku ziemi, zakuwając go w ciasnym kole nędz, małostek i męczącej nudy.

Począł też obsypywać Julię mnóstwem zarzutów, braki i wady jej widząc tem dobitniej, że bezświadomie porównywał ją z tą, która stawała przed nim, jako ideał wszystkiego, co kochał i czego dla siebie potrzebował.

Gdy zaś powrócił myślą do odgrózki dotyczącej zabrania dzieci, do reszty się zraził. Wiedział, że prawo rozstrzygałoby ostatecznie punkty sporne między nimi. W groźbie żony widząc wszakże nie miłość macierzyńską, lecz poprostu złość i małostek duszy, ogromny powziął żal oto, że go tak raniła. Przytem obejmował wielkie trudności i przykrości, jakie ztąd wynikać mogły.

W końcu też ogarnęło go bezmierne zniechęcenie, zwłaszcza, że był zmęczony fizycznie wśród tych dni i moralnie rozstrojony wszystkim: wypadkiem z psem, poniekąd stratą materyalną, nawet zadraśnięciem ambicyi przez to, że wieść o ucieczce żony i całym zajściu rozniosła się po okolicy. Naraz wydało mu się, że nie przed sobą nie ma, przyszłość widział zmaconą i rozbitą.

— Zniszczę do szczętu wszystko, co postawione krzywo i chwieje się!—myślał.—Zburzę dom, wieś rozparceluję, młyn sprzedam. Janię — ha! Janię



zostawię początkowo przy matce, ale potem porwę—czyż to nie ma sposobów?... Ucieknę z nią! Tu wszyskiego mam po uszy! Pójdę w świat pomiędzy obcych. Tam nikt nie będzie pytał czego chcę, com miał, co mam — czem byłem, czem dziś jestem?”

— „Walczyć z przeciwnościami, zapracowywać się—i po co? W tym domu nigdy nie będzie z nią zadowolenia i spokoju!... Odsetki kapitału wszędzie stareją na byt. Druga burza przyjsie może i mnie zabrać! Po co borykać się, mózg wysuszać, ręce urabiać—dla kogo? ach, dla kogo?! Lepiej jak kret zakopać się przed oczyma ludzi—i żyć dla samego siebie. Już dość przymusów, naigrawań losu, dość tych prób i walk!... Niech spycha dalej siła, która wciąż peha!”

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z WŁOCH.

Życie Wiecznego Miasta nie zna nigdy zastoju, jaki porą letnią wytwarza się w innych wielkich stolicach, a że Leon XIII obchodzi właśnie w tym czasie kapłański swój jubileusz, Rzym jest przepelniony pielgrzymami, którzy od początku tego roku napływają tu z różnych stron świata, przyjmowani zawsze z powagą skromną, bez żadnych powitań uroczystych, bo od 1870 r. Ojciec Święty trzyma się w obec nowoczesnego Rzymu na uboczu, jak gdyby dla niego nie istniał. Przemowy wygłaszane do wiernych pozostaną przecież dla przyszłości, jako pamiątka pomnikowa, bo zostały one wydrukowane nie tylko we włoskim oryginale, ale i w przekładzie francuskim pod tytułem „Paroles de Jubilé,” a są to rzeczy wzniosłe pomyślane — wzniosłe, szlachetnie wyrażone. Leon XIII pisze dużo, nie ma też prawie tygodnia, aby w organach papieżkiej prasy Rzymu: „Voce della Verita,” lub „Observatore Romano,” nie mieściło się jakieś przemówienie jego, wystosowane do osób, do korporacji i deputacji pielgrzymek, które cisną się do niego przez lat tyle, jedną za drugą. Dzieło z nich złożone, a zebrane w porządku odpowiednim świadczyć będzie przez lata długie o sile umysłu i wzniosłym pojęciu obowiązku. Na przyszłym konsystorzu papieżkim, który odbędzie się w pierwszej połowie sierpnia dla aktu nominowania nowych kardynałów, Ojciec Święty niewątpliwie też przemawiać będzie.

Arrigo Boito, urodzony z Radolińskiej, należy obecnie do kompozytorów wyższej miary i szlachetnego ukończenia sztuki swojej; właśnie w tym czasie wykończył operę „Nero,” którą tworzył przez lat osiemnaście, a która ma być wystawiona na scenie bolońskiej w sezonie. Mascagni pisze jednoktówną operę „Il Viandante” (Przechodzień) do której treść wziętą z poematu Coppée’go pod tym tytułem, a obok tego zamierza napisać mszę, którą pragnie mieć wykonaną w Monte Cassino, w kościele opactwa benedyktyńskiego w czasie pobytu tam królowej Małgorzaty, chcącej zwiedzić tę okolicę, słynną z pięknych widoków szeroko roztaczającego się krajobrazu i wspaniałego gmachu starożytnego opactwa, oraz świątyni, która wieńczy szczyt góry, strzelającą wysmukłą wieżycą w błękity. Przecież królowa ma skrocieć miłą tę wycieczkę z powodu trzęsienia ziemi, które nawiedziło Toskanią, a dało się czuć i w Rzymie. Aparaty teismograficzne w Collegio Romano wykazały lekkie drgnięcia i królowa pragnie być w tej chwili czasu niebezpiecznej obok męża, a wiele delikatna upozorowała ten przyspieszony powrót chęcią obejrzenia świeżo otwartej wystawy kwiatów i ogrodnictwa, urządzonej w ogrodach willi Borghese.

Po drodze wstąpi jednak królowa do Orvieto, wielkiego, lecz bardzo starego miasteczka, którego wspaniale piękna katedra w stylu gotyckim ściągają do siebie turystów. Zbudowana w XIII wieku, na-

leży przez wielkie bogatwo rzeźb, zdobiących fronton, oraz mozaik, do najwyższej cenionych dzieł starożytnego budownictwa Włoch. Freski Łukasza Signoralle, wykonane w 1500 r., godne są też aby dążyć do ich widzenia, a jest ich tutaj cztery: „Przyjsie Antychrysta,” „Koniec Świata,” „Raj,” „Pieńo.” Święto Bożego Ciąa odbywa się tu z całą wspaniałą pompą średowieczną. Procesja wychodzi z katedry przy biciu dzwonów, przy poważnej muzyce starożytnego stylu dwóch orkiestr i mając na czele biskupa ciągnie przez miasto, że przecież tu nie urząda się tak, jak u nas ołtarzy w mieście na otwartem miejscu, procesja wchodzi do czterech kościołów i wraca nakoniec do katedry przy dźwiękach wspaniałego marsza. Ze na taką świetną uroczystość dąży mnóstwo ludu i z okolic Rzymu, są to tłumy nieprzerachowane i chyba nigdzie po za Włochami nie można się spotkać z widokiem jaki tu przedstawia się oku, a dodać trzeba, że Orvieto posiada dwa, godne widzenia pałace starożytne i bardzo cenne, choć niewielkie muzeum średowiecznej sztuki, oraz muzeum sztuki i wykopalisk etruskich, bo nowożytny Włoch stąpa tu po gruncie starej Etruryi.

Do uroczystości bieżącej chwili zaliczyć trzeba bardzo wspaniale dopełnione w d. 4-tym czerwca odsłonięcie pomnika, wzniesionego dla uczczenia pamięci jenerała Mac Mahona, księcia Magenty. Tłumy ludzi ze wszystkich okolic Włoch zgromadziły się tu wiedzione uczuciem wdzięczności i razem była to uroczystość nie tylko wspaniała, ale silnie wruszająca serca ludzi z danej epoki. Powstał też wśród tego zgromadzenia zamiar wzniesienia kolumny w miejscu, którądy wojska włoskie weszły w 1870 r., do Rzymu z generałem Cadorny na czele. Istnieje wprawdzie tablica pamiątkowa tego wielkiego dla nowoczesnych Włoch momentu przy rogatce Porto Pia, ale lud rzymski pragnie wybitniejszej i trwalszej pamiątki, która po ojcach została by synom, wnukom. Rzym zdobi się coraz więcej w takie okazy upamiętnienia przeszłości i wskrzesza symbole stare; na skwerze koło wschodów, prowadzących na Kapitol, mieści się zamknięta w klatce żelaznej żywa wilezyca, jako godło Rzymu, a obok, w klatce także, cała rodzina żywych orłów, uplastyczniony obraz siły i władzy Wiecznego Miasta. W kościele Santa Maria della Vallicella na Corso Vittorio Emanuele odbyło się wiele uroczyste i wspaniale urządzone nabożeństwo w trzechsetną rocznicę śmierci S-go Filipa, odprawione przez kardynała Rampollo. Przy kościele mieszczą się dwie cele, które zajmował niegdyś święty i tu są złożone wszystkie po nim pamiątki dla uwiecznienia pamięci jego czynów, bo on pierwszy dał tu impuls wychowania, a zarazem kształcenia dzieci ubogich; wprowadził niedzielne nauki w kościołach, zakładał instytucje miłosierne, a znaczenie jego działalności podnosi się przez to tem wyżej, że była to chwila powstania i rozszerzania się reformacji. U nas powinno się przechowywać wdzięcznie wspomnienie tego świętego, bo przyłożył się on w części wielkiej do założenia w Rzymie kolegium naszego.

Otwartem tu zostało niedawno wspaniale piękne muzeum miejskie wśród ruin termów Dyoklocjana, a obok tego publiczność rzymska otrzymała przystęp wolny do galerii Corsini na Transtewerze. Galeria ta słyęła od dawna jako zbiór wspaniałych obrazów, a zwłaszcza najcenniejszych sztychów, ale w kole losu przyszła chwila, iż rząd włoski lekając się aby zbiory te nie zostały kiedy wywiezione za granicę, zakupił przed laty sześciu wspaniałych pałac książąt Corsini, a wraz z tem i galerią obrazów oraz sztychów, jedyną może pod względem zabytków starej sztuki włoskiej. Część parku Corsini oddano na użytek publiczności, a stanie tu zarazem pomnik Garibaldeggo, na wzgórzu zadrzewionem wawrzynem. Utworzono też osobną galerią, otwartą dla wszystkich kształcących się w sztuce artystów, co było jednym z warunków postawionych w akcie sprzedaży ze strony księcia, który obok tego ofiarował bezinteresownie zbiór obrazów bardzo cennych, jakkolwiek nie pierwszorzędných wielkich artystów, które włączono do muzeum, mającem odtąd nazywać się Muzeum narodowem. Przecież wśród tych wszystkich zajmujących rzeczy góruje tu bolesny niepokój, rodzący się w skutek coraz to częściej powtarzających się trzęsien ziemi. Pierwsze z ko-

lei objawiło się we Florency w d. 19 maja koło południa, poprzedzone jakimś głuchym grzmotem podziemnym; wieczorem rzecz się powtórzyła i dwieście kamienic zostało mocno uszkodzonych, a gruzy lecące gwałtownie z góry zabiły pięć osób. W Grasino czterdzieści domów runęło w gruzy, a z jakim łoskotem, z jakim przerażeniem ludzi, wrazić niepodobna; w San Martino piękny kościół stał się smutnem zwaliskiem i tak dalej kłęska ta nieprzewidziana szerzyła zniszczenie czyniąc miasteczka Galuzzo, Bandini, Lappagi, stosami rumowisk. Wracając do wypadków we Florency dodać trzeba, że starożytna świątynia S-go Gerwazego jest mocno uszkodzona, a w Fiesolo niemal zupełnie zrujnowana, choć wstrząszenia trwały tylko osiem sekund, a dało się uczuć i w Bolonii, Pizie, Piacency, Parmie, Rzymie i Roco di Papa.

Badacze tych okrutnych wstrząszeń naszego świata przypisują to mocom wulkanicznym, wybuchy Wezywiusza, okazują się też tak silne, jak dawno już nie bywało. Otworzył się też nagle wśród nocy d. 3-go bieżącego miesiąca potężny krater nowy, o sto metrów poniżej dawnego, a lawa, ogniste płonąca, wylewała się potężnym strumieniem czyniąc wielkie szkody; silne wstrząszenia czuć się też dawały szeroko w okolicy, aż około godziny dziesiątej rano otworzył się nagle nowy, ogromny krater, blisko o sto metrów poniżej dawnego, a w godzinę potem drugi o siedemdziesiąt metrów niżej. Dym tworzył obłok osłaniający to zjawisko natury, przybierając w oświetleniu zbłądłych promieni słońca dziwaczne kształty i barwy, przerażające lud okoliczny trwogą zabobonną działań złego ducha, bo lud włoski przechował coś z mitologicznych wierzeń dawnych i siłom natury daje znaczenie jakichś mocy nadprzyrodzonych. Dopiero gdy nad wieczorem chmury dymu i pary opadły, ukazały się oczom przelekłych ludzi ogniste przepaście, widzialne z pewnych miejsc Neapolu i odbijające się w zwierciadle wód zatoki. Ze też nikt w mieście i okolicy nie zamknął oczu twierdzić można na pewno, a niepokój panował najsilniej wśród mieszkańców Terra del Greco i Portaliccy, bo są to miejscowości najbardziej wystawione na niebezpieczeństwo wybuchów Wezywiusza.

Do kłesk, które w tych czasach srożą się nad Włochami zaliczyć trzeba straszną katastrofę: pożar w Rzymie, wynoszący w szkodach poczynionych półtora miliona lirów, a cyfra tu już wykazuje co to była za siła okrutnego żywiołu. Około godziny 5-tej rano ludność śpiesząca do pracy w fabrykach spostrzegła, że kłęby dymu, a wkrótce zaraz i snopy płomieni wybuchają z komina teatru Politeama. Krzyknięto na trwogę, ale zerwał się wiatr, jak się dzieje zwykle w skutek rozrzedzonego przez gorące powietrze, pożar ogarnął i drugą stronę ulicy tak, że stało się to morzem płomieni; paliło się razem sześć pałaców, a ludzie tak w nich spali moeno, że policya budzić ich musiała strzałami z rewolwerów. O godzinie szóstej zawałiło się sklepienie teatru z hukiem strasznym i to wywarło wrażenie tak wielkie, że ratujący zaczęli się cofać i wysuwać powoli, lecz gdy o godzinie siódmej przybył król Humbert i ze swoją zwykłą odwagą, ze swoim szlachetnem uczuciem ludzkości wziął żywy udział w ratowaniu, podnieciło to innych. Król całe dwie godziny tu przebywał i odjechał wtedy dopiero, gdy walka ze strasznym żywiołem zdołała go opanować.

Na zakończenie dodam, że mieliśmy tu smutne zgromadzenie naszej kolonii, pogrzeb bardzo już sędziwej, bo przeszło osiemdziesiąt lat mającej starszki, siostry Cherubiny Niesidojskiej Maryaniki z Czestochowy, ostatniej już z tego zgromadzenia. Czterdzieści lat tu przebywała samotna, cicha, łagodna bardzo dla ludzi, a nie skarżąca się nigdy na dolegliwości, na koleje różne losu swego. Codzień w południe szła z garnuszkiem niedużym do kolegium polskiego na via dei Maroniti, gdzie dostawała obiad dość obfity, aby mogła z niego coś sobie schować na wieczór. Stosunków miała tak mało i niemal wyłączenie w kole naszym, że biedaczka umarła nie mając przy sobie w chwili tej rozstania się ze światem ziemskim, nikogo. Nikt jej nie pożegnał, a jak była osamotnioną dowodzi to, że trzy dni trup biedaczki leżał na twardo zasłanym tapczanie, zanim ktoś zainteresował się jej nie przybywaniem po obiad i zajrzał do jej ciasnej izdebki.



Teraz już jej dobrze i cicho, teraz odpoczywa po trudach i troskach, ale nam żal tej typowej postaci męskiej kobiety naszej.

August

## Kronika działalności kobiecej.

— Opiekunkami przytulku św. Franciszka Salezego dla osób do pracy niezdolnych a opuszczonych zostały pp. księżna Lubomirska Tadeuszowa, księżna Czetwertyńska Włodzimierzowa, Marya Zawiszyna, Julia Górską, Emilia Blochowa, Julia Filipkowska, Paulina Kowalska, Helena Domaszewska, Katarzyna Medekszyna.

— S. p. Tekla Rapačka zapisała ostatnią wolą swoją 95,000 rs. na różne cele dobroczynne, a między niemi: 10,000 rs. jako kapitał wieczysty na rzecz Tanieh Kuchen, obecnie gdy zarząd tej instytucji powiął zamiar wzniesienia własnego domu dla pomieszczenia tam Taniej Kuchni, istniejącej obecnie w lokalu przy ulicy Oboźnej, zużytkuje on sposobem pożyczki zapis ten prawdziwie dobroczynny, zabezpieczając sumę wymienioną na wzniesionym tam obecnie budynku. Poprzednio jednak przeprowadzoną zostanie segregacja zapisów, mieszczących się w ogólnej sumie i każdy z pomiędzy nich mieć będzie hipotekę oddzielną.

— Na wizycie generalnej, odbytej w zakładzie chłopców sierot imienia St. Jachowicza, uczestniczyły jako delegatki Towarzystwa dobroczynności opiekunki: pp. Bronisława Paszkowiczowa, Balbina Zalewska, Lucyna Górską, Walerya Górską, Florentyna Bryks, Izabela z Szaniawskich Skiwska, To maszewska.

— Patenta z ukończenia kursu jedwabniczego otrzymały pp. Zofia Bartoszewicz, Zofia Biedrzycka, Marya Chludzińska, Izabela Danejko, Helena Grendyszyńska, Marya Kamińska, Marya Kłyszynska, Helena Krasiuk, Helena Littke, Eleonora Roszkowska, Ewa Sąchocka, Marya Sąchocka, siostry Szware, Magdalena Zelazowska.

— Uczennica prof. Michałowskiego w warszawskim Konserwatorium muzycznym, p. Jankowska, otrzymała medal złoty a jest to pierwsza nagroda, jaką Konserwatorium udzieliło od czasu reorganizacji, to jest od 1890 r.

— Kosztem Komitetu pań, należących do Towarzystwa opieki nad zwierzętami, wyszła z druku pierwsza broszura z celem rozbudzenia uczuć miłosierdzia i ludzkości w obchodzeniu się ze zwierzętami, oraz zrozumienia w tym zakresie własnego interesu. Jest to praca p. Dygasińskiego Adolfa pod tytułem: „Przyjaciel koni“.

— Do Towarzystwa przeciw żebraczemu przystąpiło pań cztery: A. Kretkowska, hr. E. Przezdziecka, hr. Raczynska, Marya Szlenkier.

— Zeszła ze świata sztuki naszej jedna z wyżej utalentowanych artystek, Antonina Roźniatowska, córka znacznej rodziny ziemiańskiej z okolic Berdyczewa, a której działalność na polu sztuki plastycznej dała jej miejsce zaszczytne. Urodzona w 1860 r. okazywała od lat najmłodszych wielkie zamiłowanie piękna natury, zwłaszcza jej przestworów szerokich, pół dzikich, lubując się niemniej w poezji— w starych dumkach i podaniach ludowych, aż z biegiem czasu wyłonił się w niej jasno przeważny kierunek artystycznych jej skłonności: zamiłowanie rzeźby i dla kształcenia się w tym zakresie sztuki udała się do rzeźbiarza Marcelego Gujskiego, zamieszkującego Kraków, a rezultat jej studiów okazał się bardzo pomyślnym. Na wystawie lwowskiej, gdzie wystawiła popiersie Blizińskiego i fantazyjną głowę kobiety pod tytułem: „Lotus“, otrzymała medal brązowy. Dodać należy, że była ona w naszej sztuce rzeźbiarskiej jedną z pierwszych. Obecnie jest na tem polu pracujących zaszczytnie pań cztery: Andreollowa, Brauman Pirowiczowa, Certowiczówna, Gerson Marya.

— Księżna Wanda z hr. Ossolińskich Jabłonowska ofiarowała bezpłatnie gminie miasta Krakowa grunt pod budowę zamierzonego przytuliska dla

sług, oraz pracowni dla robotnic, pozbawionych czasowo zajęcia. Taki sam zakład utrzymywały w domu najętym zakonnicie Służebniczki, a pożyteczność jego humanitarna wykazała się tak dowodnie, że rozszerzenie tej miłosiernej działalności znajdzie niewątpliwie podporę w ofiarach ludzi dobrej woli a przyjmowane też będą datki możliwie najdrobniejsze, co może się nietylko przyczynić do składek liczniejszych i zład pomnażających ich cyfrę, ale przypuszczenie tu tym sposobem klas mniej zamożnych oddziaływać będzie niewątpliwie na ich umoralnienie, jak to dzieje się zawsze, skoro otwiera się przed nimi możliwość spełnienia dobrego czynu.

— Baronowa Possauer, posiadająca naukowy stopień doktora medycyny, wniosła w Wiedniu do komisji budżetowej podanie, aby wolno jej było zajmować się praktyką lekarską. Komisja odniosła się do sfer rządu wyższych, co do rozstrzygnięcia tej kwestyi, czy w państwie austriackim dozwolona jej będzie działalność lecznicza?

— Rektor, oraz senat uniwersytetu wrocławskiego postanowili przypuścić kobiety do słuchania wykładów z zastrzeżeniem przecieży, czy zdały egzamin na stopień wyższej nauczycielki? Uniwersytet w Getyndze utworzył też aule swoje kobietom i jest ich tam w bieżącym semestrze letnim studentek dwadzieścia, słuchających wykładów matematyki i nauk przyrodniczych. Jedną z pomiędzy nich, miss Anna Chisholm, zdała właśnie egzamin na stopień doktora tych umiejętności, a głównym przedmiotem studyi swoich obrała fizykę i astronomię. Poprzednio, w 1874 r., dwie słuchaczki otrzymały także tytuł doktorów, jakkolwiek nie odbywały tu studyi a w 1887 r. godność tę przyznano córce uczonego badacza dziejów, Dorocie Schlözer.

— Angielska pani ze sfer społeczeństwa bardzo wysokich, lady Winhelsee, ustanowiła już dwa lata temu instytucję podnoszącą ducha dzieci młodych i skierowującą ich myśl w stronę szlachetnych zadań życia. Jest to dziecinny order zasługi przyznawany bez żadnego wyjątku dzieciom klas wszelkich i wszelkiego mienia, które spełniły czyn jakiś szlachetny poświęcenia, lub silnego stania przy obowiązku. Choć istnieje od tak niedawna stowarzyszenie to liczy obecnie 10,000 członków, co przecieży zaliczyć trzeba na dział zasługi matek, a dodać należy, że stoi tu do pomocy zarządowi 300 młodych pańien i paniczów, którzy skończyli już lat osiemnaście. Lady Winhelsee czyta osobiście wszystkie listy przesyłane jej przez stowarzyszonych i odpowiada na nie bezzwłocznie, a najczęściej bywa tu prośba o radę, lub zagadnienie, jak należy pojmować pewne strony obowiązku. Chcąc nie usuwać tej rady dzieciom klas wszelkich ogłosiła przez odpowiednie czasopismo, bo czasopisma dla dzieci i młodego, wieku adres swój.

## Wrażenia jesienne z Japonii.

Święte miasto Kioto

przez

PIOTRA LOTI.

(STRESZCZENIE).

(Dokończenie).

Dziwem nad dziwami w świętym mieście była dla mnie świątynia „tysiąca bożków“, której plan wykonał przed osmiuset laty w chwili religijnego zachwyty, jakiś niezmiernie bogaty mistyk. Niepodobną jest do żadnej innej, niema tu ani ołtarzy, ani kadzielnic, ani świętych skrzyń; dziesięć oddziałów stopni, długich na dwieście do trzystu metrów, prowadzi do świątyni, podobnej do olbrzymiej trybuny na placu gonitw, na którą spuścił się ze wszystkich świątyni, ze wszystkich niebios, cały legion bożków, aby uczestniczyć w jakimś apokaliptycznym widowisku, lub zagładzie świata.

W wielkiej honorowej łoży, na środku umieszczonej, na złotym kwiecie lotosu, siedzi jak na tronie kolosalna postać Buddy, ze złota, szeroka jak podstawa wieży, otoczona złotym blaskiem aureoli, rozpościerającej się po za nią jak ogoń olbrzymiego pawia, Bożka strzeże dokoła dwadzieścia potwornych figur, mających postać olbrzymich ludzi, lecz jednocześnie coś dyabelskiego i trupiego. Wchodząc przez drzwi środkowe, niskie i ukryte, pomimowoli trzeba się cofnąć, na widok tych dzikich, nienaturalnych obrazów, które się spostrzega bezpośrednio przed sobą. Od góry do dołu, na schodach prowadzących do łoży, pełno tych postaci.

Wznoszą ręce w górę, i zaciskając pięści, robią najstraszniejsze miny, zgrzytają zębami, rozdzwiają usta, pozbawione warg, przewracają oczy o wyrazie natężonym, strasznym. Odkryte żyły i nerwy biegną wzdłuż ich członków, i pod względem anatomicznym naśladują prawdę do złudzenia. Postacie te pomalowane na krwisto-czerwony, niebieskawy, i zielony kolor, wyglądają jakgdyby nieżywe lub obdarte ze skóry, i mają wszystkie odcienia nagiego ciała żywego lub przechodzącego w stan gnicia. Około roku 1,000 naszej ery, gdy u nas tworzone naiwne obrazy świętych, Japonia posiadała już artystów, zdolnych do wykonywania tych wyrafinowanych i wiernie oddanych okropności.

Z obydwóch stron wielkiej środkowej łoży, wznoszą się schody dla tysiąca bożków, z których pięćset stoi z lewej, a pięćset z prawej strony, w dziesięciu rzędach jeden nad drugim, zajmując przestrzeń, wystarczającą dla całego korpusu armii. Wszystkie te postacie jednakowe, ustawione w niernaruszonej symetrii, olbrzymie wielkości, od stóp do głowy złotem pokryte, a każda o czterdziestu rękach. Każdą głowę o wysokim uczesaniu otacza aureola i blask złotych promieni, a także same złote szaty, jak u Egipcyan, ściśle przylegają do bioder. Każda postać uśmiecha się tym samym zagadkowym uśmiechem, trzymając sześć lub ośm ze swych rąk spokojnie złożonych, jak do modlitwy, podczas gdy reszta rąk, rozłożonych wachlarzowato wznosi do góry dzidy, strzały, głowy zabitych, lub niezrozumiałe symbole.

W półcieniu bóstwa te zdają się uśmiechać, ze spojrzeniem zwróconem w jednym kierunku, zapatrzone w nieistniejącą sferę i wyczekiwać z cierpliwością nieśmiertelnych, na wspaniałe widowisko, na które zebrały się tu niewątpliwie. Nieruchoma ta gromada pokryta dzidami, promieniami i aureolami błyszczy się wśród tej ciszy, aż do ostatniego zakątka świątyni.

Doznaje się nareszcie pewnego znużenia i niepokoju, na myśl, że to oczekiwanie, uśmiechy, blask tych złotych wspaniałości, dzikie spojrzenia potwornych środkowych postaci, że to wszystko trwa już godziny, dni, lata, wieki i lat tysiące.

Po za świątynią znajduje się od niepamiętnych czasów oddzielona przestrzeń, poświęcona strzelaniu z łuku. I dziś kilku mężczyzn z gołymi rękami oddawało się szlachetnej sztuce, uprawianej przez dawnych, możnych panów. Kierowali swe strzały, ku bardzo odległym celom, w kształcie parasoli; było to jakgdyby widowisko z dawnej przeszłości.

Kalakowa zwrócił mą uwagę na masywne drzewo świątyni, w którym tkwiło jeszcze tysiące strzał; wielkie wystające belki dachu, służyły dawnym panom jako cel; niektóre tak były pokłute temi białawymi odłamkami strzał, nagromadzonemi tu od wieków, że trudno było własnym oczom wierzyć, prędzej mogło się zdawać że to jeżowce, wydostające się z belkowania, wodotryski.

X.

Zmrok zapadał, gdy odjeżdżałem na banhof, zawsze pod strażą mych dwóch wiernych djinów. Drugi jednak wózek jechał teraz za mną, ze skrzyżniami pełnemi różnych osobliwości przeważnie religijnych, zebranych wśród pyłu tandety, w okolicach świątyni.

Bukiet wielkich złoconych buddhyskich kwiatów lotosu, kupiony w ostatniej prawie chwili, a który trzymać musiałem za łodygi, jak prawdziwe kwiaty, sprawiał mi wiele kłopotu. Djinowie obiecali wynaleść po drodze osobę, która potrafi zapakować mi



ten sprawunek, zwątpiłem jednak o tem, gdyż przejeżdżaliśmy już przez najuboższe i najodludniejsze ulice przedmieścia, w pobliżu stacji kolejowej.

Nagle Kalakowa wydał okrzyk ptasi, a wózek zatrzymał się z raptownym stuknięciem; w głębi targowej budy wypełnionej sosenami deskami, ujrzałem potrzebną mi osobistość.

Wszedłem do środka budy z wielkim moim lotosem. Stary Japończyk zbliżył się uprzejmie z ukłonem, wziął moje kwiaty, porachował je, wymierzył, obliczał chwilę: „skrzynka kosztować będzie dwanaście sous, oprócz tego wyjdzie za trzy sous waty, razem więc piętnaście sous!”

Niespokojnie spojrział na mnie, jakgdyby zapytywał się w duchu, czy nie oburzy mnie to wygórowane żądanie. Boże mój, nie! Byłem tak uszczęśliwiony, że tego pocziwca znalazł, zgodziłem się na wszystko, prosząc o możliwy pośpiech. Jakaż to była radość dla całej rodziny; zabrano się do piłowania, łączenia i wykończenia skrzynki z małpią szybkością, za pomocą małych narzędzi pierwotnego kształtu; przyniesiono mi poduszki dla odpoczynku, poczęstowano filiżanką herbaty, i przyprowadzono dwóch najmłodszych muskos (chłopcy) wesołych, ładnych, czystych dzieciaków. Jednocześnie na ulicy zebrała się gromadka młodych dziewcząt, dla zobaczenia mnie. Z początku chichotały się i ukrywały, spostrzegłszy na sobie wzrok cudzoziemca; wkrótce jednak ośmielone, zbliżyły się do mnie i pytały czy jestem Francuzem, czy Anglikiem, wiele mam lat, w jakim celu przybyłem tu sam jeden, na co potrzebna mi ta szkatułka?

Zdumiony byłem, widząc że doskonale, bez długiego namysłu rozumiem co do mnie mówią, i łatwo mogę również dać się zrozumieć; ta Japonia i jej język tak jeszcze były dla mnie nowe, w mej głowie nie uporządkowane; sześć miesięcy temu, istniał jeszcze zakątek na ziemi (ostatni jak sądzę) gdzie los mnie nie sprowadził, kraj obcy mi dotąd. A teraz rozpoznawałem dźwięk mego głosu w tych nowych wymawianych wyrazach, i wydało mi się, że nie byłem już sobą.

Tego wieczoru zauważyłem że wszystkie dziewczęta były ładne, widocznie przywykłem już do typu krańcowej Azji. Prawdopodobnie przyczyniała się do tego ich młodość, drobne twarzyczki o niewyraźnych, niewyrobionych rysach, a urok dziecięcego wieku i młodzieńczej świeżości istnieje także w Japonii bezspornie. Tajemniczy kwiat młodości wędnie tu prędzej wprawdzie, zmienia się do niepoznania, a rysy nabierają z wiekiem małego wyrazu.

Młode dziewczęta ze swem cokolwiek przesadnym zachowaniem się, świeżemi i rzucającymi się w oczy barwami swych ubrań, szerokimi przepaskami, bufiasto z tyłu związanymi, tworzyły grupę podatną dla malarza.

Noc ciemna zapadła, a w powietrzu zapanował jakiś zimowy, posepny koloryt, jak gdyby wszystko pokryło się szarym welonem; w ciemnej ramie drzwi dziewczęta ukazywały się jeszcze w dobrem, jasnym oświetleniu, ostatnie promienie światła skupiały się na nich. Po nad ich głowami uwydatniała się mała uliczka, niknąca w oddali; czarne drewniane jej domki, biegnące łukowatą linią ze swemi dachami, wystającymi jak spiczaste zęby odcinały się na szarem mrocznym tle nieba, nietoperze przerywały powietrze. W chwili gdy musiałem rozstawać się z tem miastem, którego zapewne więcej już nie ujrzę, opanowała mnie jakaś melancholia, spowodowana może świadomością że jestem tu sam, tak daleko...

Stary Japończyk skończył swą robotę, zapłaciłem i powiedziałszy Sayanere (żegnam) na wieki całemu otoczeniu, wsiałem na wózek, zabrawszy skrzynkę ze złotym lotosem.

\* \* \*

Niewątpliwie w gwiazdach było napisane, że nie tak łatwo będzie mi rozstać się z tem Kioto, gdyż na zakręcie ulicy spostrzegłem tak pociągające zjawisko, że uderzywszy wachlarzem po plecach mego pierwszego dżina Hamanichi, zatrzymałem raz jeszcze swój zaprząg. Byłem oczarowany, jak pod urokiem, jak piorunem rażony. Natychmiast uczułem, że losy nasze na zawsze są związane. Stało się to na progu drzwi kupca, handlującego świętościami; ujrzałem bożka naturalnej wielkości człowieka, w postawie siedzącej ze skrzyżowanymi nogami, bardzo starego bożka Amida o sześciu rękach i pięciu oczach, śmiejącego się i gestykulującego dziko, bożka, którego nie łatwo było napotkać u handlarzy, jednym słowem szczęśliwy traf. A jednak nie żądano za niego wysokiej ceny, ja zaś spodziewałem się jeszcze połowę wytargować.

Musiałem go mieć bezwarunkowo. Dowiedziawszy się że mi pilno, zaproponowano uprzejmie wykonać jaknajprędzej dużą skrzynię, w której bożka, w trumnie będzie można pomieścić. Nie chciałem jednak czekać, gdyż spóźnilibyśmy się z pewnością, i nie zdążyli na pociąg: kazałem po prostu sprowadzić trzeciego dżin-ricchi-cha, i usadowiłem na niem bożka jak żywego człowieka.

Biegliśmy co tchu, sześciu naszych dżinów wydawało podczas biegu głośne okrzyki, a Japończycy, spotykani po drodze podziwiali etmidę w wózku, wykradanego przez Europejczyka.

Nastąpiły sprzeczki z kolejowemi urzędnikami, zdumionemi tym niezwykłym pakunkiem, będącym nawpół pasażerem, na wpół bagażem. Porozumielimy się w końcu, umieszczono bożka na kufrach, i obiecano zwracać na niego uwagę podczas jazdy.

Nocnym pociągiem przybyliśmy do Kobë, gdzie jolla z mego statku oczekiwać miała przy bulwarze o godzinie oznaczonej. Zabraliśmy się tak jak w Kioto, ja w jednym wózku, bożek w drugim, pakunki moje w trzecim.

Jak przy odjeździe, musiałem przejeżdżać przez pewną osławioną część miasta, gdzie ucz. owali nasi marynarze. Moi poczuli mnie, pomimo niezwykłego mego kostiumu: „Oto kapitan nasz, powracający ze swej podróży,” i czapki zdejmowali przedemną. Lecz kto mógł być towarzysz mój, o dzikich giestach, jak dyabeł czerwony, co zwracało uwagę nawet w ciemności? Nie mogli zrozumieć tego, zwłaszcza znajdując się cokolwiek w stanie upojenia.

Tem trudniej było im rozwiązać tę zagadkę, że przejeżdżaliśmy obok nich szybko, a dżinowie ze wszystkich sił swoich biegli ku morzu.

E. F.

## Z bieżącej chwili.

— Nowe Towarzystwo metalurgiczne rossyjsko-belgijskie nabyło niedawno znaczne obszary gruntu pod stacją Wołynowo, na których zamierzona jest budowa wielkiej fabryki szyn kolejowych. Towarzystwo otrzymało zamówień rządowych na sumę 12,000,000 rs.

— Do trzydziestu trzech ochron Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności uczęszczało dziennie w ubiegłym miesiącu przeciętnie 2,752 dzieci. Dzieci z Przytułku przy ulicy Zielnej Nr 20, wyjechały do Buska na sześć tygodni kosztem hrabiny Zamojskiej.

— Niedawno zmarły obywatel ziemski, Rakowski, zapisał majątność swoją, Rudno Górne sąsiadom swym, ziemianom. Dobra te, wystawione na sprzedaż przez masę spadkową, obejmuje 350 mórg

gruntu. Nabył je za 38,700 rubli I. Szatkowski, adwokat z Warszawy.

— Zapis uczniów nowo-wstępujących do Warszawskiej Szkoły rzemioł imienia Konarskiego, rozpoczęty z d. 22-im bieżącego miesiąca, trwać będzie do d. 21-go Sierpnia codziennie, od godziny 10-ej rano do 12-ej w południe z wyjątkiem świąt i niedziel.

— Kolonia letnia dla sierot, zostających pod opieką Warsz. Towarz. Dobroczynności, mieszcząca się we wsi Drewnicy niedaleko od Warszawy, została znacznie powiększoną przez dołączenie dwudziestu mórg lasu, należącego do sąsiedniego leśnictwa Ząbki. Nastąpiło to staraniem ks. Tadeusza Lubomirskiego, byłego prezesa Towarz. Dobroczynności, który wyjednał przyłączenie tej części lasu do kolonii.

— W krakowskiej szkole sztuk pięknych rok szkolny zakończył się publiczną wystawą prac uczniów w gmachu szkoły, przyczem przyznano medale. Na kursie I-ym rysunkowym, otrzymał medal brązowy uczeń Łagodziński; na kursie II-gim medal srebrny przyznano Radwańskiemu; na kursie III-cim otrzymali medale brązowe: Greinert, Rychter i Wachter; na kursie IV-ym malarstwa medal złoty wziął Wojciech Weiss, medal srebrny Bąkowski, brązowy Truse; razem rzecz zebrawszy twierdzić można, że sztuka malarstwa jest u nas w rozkwicie pożądanym.

— Znana jako zbiór wyższych dzieł sztuki malarzkiej galeria hr. Milewskiego, wystawioną będzie w Pałacu wiedeńskim Künstlerhauzie, a znajdują się tu obrazy znakomitych naszych artystów: Matejki, Gierymskiego, Pochwałskiego, Czachórskiego, Bielińskiej, Pruszkowskiego, Aksentowicza, Malczewskiego, Piotrowskiego, Chełmońskiego, Piątkowskiego, Pankiewicza, de Laveaux, Wodzińskiego, Jasińskiego i innych. Zbiór ten powiększy się jeszcze przez dwa obrazy Żmurki: „Portret grzesznika“ i portret własny tego artysty.

— Zapisany miastu Krakowowi wspaniały zbiór broni z różnych czasów i różnego pochodzenia przez ś. p. Władysława Kościelskiego (Sefera baszę) odebrany będzie wkrótce. Zbiory te zawarte są w dwudziestu sześciu pakach i namyślają się tam, gdzie je umieścić? Pierwsza ich wystawa odbędzie się w salach Muzeum technicznego, lecz należy się obrać miejsce odpowiednie na stałe pomieszczenie tej cennej pamiątki.

— Odbyta konferencja nauczycieli ludowych szkół krakowskich wykazała cyframi rozwój szkolnictwa w Krakowie w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Przed laty temi liczył Kraków szkół dziewięć, a to pięć męzkich, dwie żeńskie, a dwie mieszane; obecnie jest tam szkół męzkich dziewięć, żeńskich dziesięć. Stan nauczycieli obejmował przed laty dwudziestu 66 osób, a to 41 nauczycieli i 25 nauczycielek, teraz jest 65 nauczycieli i 50 nauczycielek, razem 105 osób, zajmujących się nauczaniem. Do szkół uczęszczało 1,410 chłopców i 877 dziewcząt, razem 2,287 dzieci, obecnie uczy się w tych szkołach 3,088 chłopców i 3,573 dziewcząt, razem 6,661 dzieci. Wydatki na płace nauczycieli wynosiły wtedy 27,129 zł., reń., w bieżącym roku przedstawia to 105,000 zł., reń. Oprócz szkół elementarnych i wydziałowej szkoły żeńskiej o czterech klasach, posiada Kraków przy tejże szkole kursa dopełniające, a przy szkołach ludowych szkoły przemysłowe, których poprzednio wcale nie było.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römëra. Przekład z niemieckiego, ark. 16.

**TREŚĆ:** Kobieta w Stanach Zjednoczonych, przez Anatola Krzyżanowskiego. — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez Augusta. — Kronika działalności kobiecej. — Wrażenia jesienne w Japonii. Święte miasto Kioto, przez Piotra Loti (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Co jest szczęście? powieść przez Aleksandra Römëra, przekład z niemieckiego ark. 16-ty. — Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.